

Komputerowa przyszłość



Joanna Sokołowska-Gwizdka

„The Future is here” – to hasło przewodnie naukowców, których

zadaniem jest rozważenie kierunków w rozwoju komputeryzacji.

Komputery coraz bardziej ekspansywnie wchodzą w naszą codzienność. Masowo posługujemy się już internetem. Statystyki wykazują jak wielu przybywa corocznie internautów. Sieć i niezastąpiona maszyna stają się nieodłącznym elementem naszego życia. Szybkość w przekazywaniu informacji w ogromnym stopniu zwiększyła tempo rozwoju niemal wszystkich dostępnych nam dziedzin. Musimy jednak pamiętać o tym, żeby w szalonym wyścigu po coraz to nowsze technologie nie zapomnieć o samym człowieku, o jego wygodzie i komforcie.

Po raz pierwszy czynnikiem ludzkim w informatyce zajęto się podczas konferencji w Gaithersburgu (USA) w 1982 roku. Wtedy pojawiły się pierwsze komputery osobiste, a o kierunku rozwoju nauki zaczęły decydować coraz liczniejsze grupy HCI (*Human Computer Interaction*), zajmujące się połączeniem badań dwóch dziedzin, technicznej i humanistyczno-psychologicznej. Grupy te określają w jaki sposób coraz to nowsze technologie komputerowe mogą być łatwiejsze w praktycznym zastosowaniu przez człowieka. Przeprowadza się w tym celu szczegółowe badania psychologiczne, socjologiczne, etnograficzne, aby precyzyjnie określić potrzeby konkretnych grup ludzi, ich priorytety zawodowe, codzienne potrzeby oraz możliwości. Ustala się potem strukturę komunikacji między człowiekiem a maszyną, co służy do odpowiedniego projektowania interfejsów

użytkownika.

Na konferencjach naukowych przedstawia się wciąż nowe projekty zastosowania komputerów w codziennym życiu. Podstawowymi funkcjami maszyny jest w tej chwili komunikacja oraz informowanie użytkownika, odpowiednie do sytuacji, w której w danej chwili się znajduje. Miniaturowe komputery pozbawione tradycyjnej obudowy, umieszczane w przedmiotach codziennego użytku, informują np. podczas jazdy samochodem o pogodzie, w domu o kończących się zapasach w lodówce, a w muzeum przedstawiają wycinek historii sztuki.

Przyszłość rozwoju komputeryzacji idzie w kierunku przyspieszenia komunikacji międzyludzkiej oraz ułatwienia codziennego życia poprzez szeroko pojęte informowanie. Widoczna tendencja do miniaturyzacji systemów komputerowych i umieszczania ich w przedmiotach codziennego użytku, w zegarkach, notesach, a nawet w zabawkach dla dzieci, przybliży świat wirtualny, dzięki czemu życie ma stać się łatwiejsze i wygodniejsze.

Komunikację zrewolucjonizowały też powszechnie używane *smartphony*, którymi posługuje się niemal każdy. Dzięki nim można na bieżąco mieć dostęp do potrzebnych informacji np. o pogodzie, czy dojeździe do określonego celu.

Łatwy i szybki dostęp do informacji niesie też za sobą różne zagrożenia. Urządzenia bez przerwy nas monitorują, określają nasze położenie, potrafią rozpoznać czy idziemy, biegniemy lub jedziemy. Zbierają dane o naszych preferencjach i upodobaniach. Te informacje mogą służyć do śledzenia nas w każdym momencie życia, do zarzucania nas reklamami i ofertami. Taka jest cena za udogodnienia związane z komunikacją i informacją.

“22 Chaser” – pełnometrażowy film Rafała Sokołowskiego

Rafała Sokołowskiego zna wielu wielbicieli dobrego filmu na całym świecie. Mieszkał, studiował i wykładał w Toronto, a potem wyjechał do USA, gdzie teraz wykłada na uniwersytecie w Ohio, i tworzy.

W piątek 6 lipca 2018 roku w Carlton Cinema w centrum Toronto miała miejsce premiera jego debiutu fabularnego, pełnometrażowego filmu „22 Chaser”.



Rafał Sokołowski po pierwszym pokazie filmu „22 Chaser”, fot. materiały prasowe.

22 Chaser to historia zdesperowanego kierowcy lawety, który decyduje się ścigać wypadki samochodowe i ryzykuje wszystko dla swojej rodziny. Jest to debiut reżyserski Sokołowskiego (*Trzy Matki, Dzień Siódmy, Lightchasers*) według scenariusza Jeremy’ego Boxena (*Imposters, Orphan Black, Killjoys*). W rolach głównych wystąpili: Brian J. Smith (*Sense 8, Red Faction: Origins, SGU Stargate Universe*), Raoul Trujillo (*Sicario, Cowboys and Aliens*), Tiio Horn (*What Would Sal Do?, Hemlock*

Grove, Defiance), Aaron Ashmore (*Killjoys, Regression*), and John Kapelos (*The Breakfast Club*).

Film jest produkcją legendarnego Dona Carmody'ego (*Shadowhunters, Resident Evil Franchise, Chicago*), Daniela Bekermana (*The Witch, Bang Bang Baby*) i Aeschylusa Poulosa (*Mary Goes Round, Sleeping Giant*).



Kadr z filmu, fot. materiały prasowe.



Kadr z filmu, fot. materiały prasowe.

Małgorzata P. Bonikowska: Zaczynałeś swoją przygodę z filmem w Toronto. Dzisiaj jesteś profesorem na uniwersytecie w Ohio. Opowiedz nam o tej drodze.

Rafał Sokołowski: Tak, ta przygoda ma kilka pokreślonych rozdziałów. Po ukończeniu Narodowej Szkoły Teatralnej w Montrealu, Fundacja Eva Fox z Nowego Jorku ufundowała mi stypendium w celu kontynuowania nauki w kierunku przez siebie wybranym. Mogłem wybrać uczelnie na całym świecie. Wybrałem Państwową Wyższą Szkołę Teatralną im. Ludwika Solskiego w Krakowie, gdzie jako stażysta na wydziale reżyserii

pracowałem pod skrzydłami Krystiana Lupy w teatrze Starym. Po powrocie z Krakowa napisałem scenariusz, który odbiegał formalnie od sztuki scenicznej, był to ewidentnie scenariusz filmowy, do mojego pierwszego filmu: "Lightchasers". Zrobiłem ten film, a on zaprowadził mnie na wiele festiwali filmowych, na niemal wszystkich kontynentach. Wkrótce potem rozpocząłem MFA w produkcji filmowej na York University, a po ukończeniu go zacząłem uczyć filmu, reżyserii i aktorstwa na York University i na uniwersytecie Ryerson. Potem były kolejne filmy, super nagroda na festiwalu EKRAN i propozycja reżyserii pełnego metrażu z Canadian Film Centre, Telefilm Canada i Movie Network. W pewnym momencie zainteresowała mnie możliwość wykładania w amerykańskiej szkole filmowej. Uniwersytet Ohio to bardzo prestiżowa szkoła, ze świetną obsadą profesorów i twórców filmu. To była dla mnie bardzo ciekawa propozycja. Ten krok w pewien sposób pozwolił mi spędzić ostatnie dwa lata na pracy nad scenariuszem i później reżyserią "22 Chaser". To wszystko jakoś się zbiegło razem w tych ostatnich latach, albo ja temu trochę pomogłem ????

M.P.B.: Był też teatr czy dzisiaj odszedłeś od niego zupełnie w krainę filmu?

R.S.: Nie do końca. Teatr jest i mam nadzieję pozostanie bardzo bliski mojemu sercu. Jest kilka tekstów, które bardzo bym chciał zrobić na scenie. Oczywiście wszystko to kwestia czasu. Robienie

filmów to kompletnie obsesyjna praca. Większość moich kolegów filmowców tak jak i ja pracuje nad kilkoma projektami równolegle i zostawia mało miejsca na inne muzy. Ale mam nadzieję, że coś zapuka do moich drzwi w odpowiednim czasie, bo bardzo chętnie zagubiłbym się w teatrze z jakąś ciekawą sztuką i grupą zdolnych aktorów. Oczywiście moją "teatralność" znajduje przekaz na ekranie. Wydaje mi się że znajomość psychologii i emocji postaci to coś co wyniosłem z teatru i co stosuje dość sprawnie w pracy na planie, podczas prób, albo analizy scen.



Rafał Sokołowski na planie filmu, fot. materiały prasowe.

M.P.B.: Zaczęło się do filmów krótkometrażowych, a dzisiaj jesteśmy po oficjalnej premierze Twojego debiutu fabularnego, pełnometrażowego. Czy krótki metraż już Cię nie satysfakcjonował?

R.S.: To bardziej tak, że fabuła pełnometrażowa fascynuje mnie

obecnie bardziej niż krótki metraż, przynajmniej na razie. Chodzi tu o inny rodzaj konceptu, na jaki pozwala. Pewne historie nadają się świetnie do krótkiego filmu, a pewne nie. Mnie chyba łatwiej opowiadać te drugie, mając więcej pola do rozwinięcia akcji, rozwoju postaci i w ogóle czasu na ekranie. Pewnie zrobię jeszcze krótki film, ale na razie koncentruje się na historii ekranowej w pełnym wymiarze. To pozwala mi wbić zęby w temat i odsłonić go w szerszy, głębszy sposób. To pozwala pokazać zachowania tej samej osoby w kontrastowym świetle – ta rozpiętość zachowań i postaw i ich częsta sprzeczność czy przeciwstawność, to jedna z rzeczy, która fascynuje mnie najbardziej w naturze ludzkiej pełen format pozwala mi ją studiować.

M.P.B.: Masz na swoim koncie kilka znaczących filmów. Poza formatem, w czym ten ostatni jest odmienny od poprzednich?

R.S.: “22 Chaser” jest bardzo różny tematycznie od moich poprzednich filmów. Widzowie, którzy znają moje poprzednie filmy: “Lightchasers” (2007), “Three Mothers” (2009), “Beneath Us” (2010), “Shifters” (2011) albo “Seventh Day” (2011), zobaczą zupełnie inny styl i inny gatunek historii i w ogóle inny warsztat z mojej strony. “22 Chaser” jest przede wszystkim pierwszym filmem, do którego nie ja napisałem scenariusz. Jeremy Boxen jest autorem scenariusza, a ja współpracowałem z nim przez sześć miesięcy rozwijając go przed produkcją. Jest to

film bardzo silnie osadzony w gatunku akcji, był niezmiernie skomplikowany produkcyjnie i to widać na ekranie. Po raz pierwszy pracowałem z mistrzami efektów specjalnych, pościgów, wypadków samochodowych i przemocy, które to stanowią świat filmu. Oczywiście w ten szybki i brutalny nurt akcji wpisana jest bardzo intymna historia człowieka. To mój ulubiony temat, w którym czuję się jak w domu – w tym aspekcie można doszukać się wielu nurtów poruszanych w moich wcześniejszych filmach. Co udało mi się rozwinąć w “22 Chaser” to ukazanie jak delikatne są nasze decyzje kiedy jesteśmy pod presją. Nawet te najprostsze wybory potrafią być karkołomne, bo większość nas “traci głowę” w panice. To była świetna zabawa pokazywać jak ten młody człowiek, nasycony ideałami i zainspirowany przyjściem na świat swojego syna, wpada w pułapki życia, jedna po drugiej. I im bardziej próbuje się z nich wygramolić, tym bardziej usuwa mu się spod nóg piasek, a on ląduje jeszcze głębiej na dnie. Jest w tym coś bardzo śmiesznego i przykrego zarazem, coś bardzo “z życia wzięte”. Wydaje mi się, że ten dialog i kontrast pomiędzy jego dramatem a akcją na drogach Toronto procentuje, daje coś w rodzaju wypaczenia czystego gatunku: fuzji pomiędzy naturalistycznym dramatem obyczajowym i przekolorowanym i egzotycznym światem ścigaczy wypadków samochodowych.



M.P.B.: Twój najnowszy film ma już dystrybutorów w Kanadzie, w USA i poza naszym kontynentem. To duży sukces, prawda?

R.S.: Bardzo wiele rzeczy musi się zbiec żeby film w ogóle powstał. Jeszcze więcej, ciężka praca całego zespołu w rezultacie dała coś, do czego widzowie będą się mogli odnieść. Scenariusz, finanse, wizja reżysera, talent aktorów, lokacje, nawet rzekomo nieistotne decyzje na temat garderoby czy fryzury mogą zaważyć na tym czy scena będzie dobra czy nie. Im bliżej się temu

przyglądam tym bardziej rozumiem jak delikatne jest to przedsięwzięcie. W przypadku "22 Chaser" chyba się to udało. Już podczas pokazów przedpremierowych w ramach Narodowego Dnia Filmu Kanadyjskiego film został przejęty przez levelFILM do dystrybucji w Kanadzie. LevelFILM nie tylko przedstawił "22 Chaser" w kinach ale również umieścił go na platformie Video On Demand, gdzie ukazał się na iTunes, Vudu, Hulu i Amazon już 17 lipca. A jesienią będzie emitowany na kanale telewizyjnym The Movie Network. Oprócz tego, film jest reprezentowany na rynkach światowych (poza amerykańskich) przez Red Sea Media, a na rynku amerykański przez XYZ Films z siedzibą w Los Angeles. To od nich będzie zależało czy znajdzie się dystrybutor, który wypuści "22 Chaser" na największym rynku filmowym w amerykańskich kinach, w Nowym Jorku i w L.A. Trzymajmy kciuki.



Rafał Sokołowski z ekipą, fot. materiały prasowe.

M.P.B.: Jacy twórcy są Twoimi mistrzami?

R.S.: Zależy od czego ???? Mistrzami neo-neo-realizmu są dla mnie Bracia Jean-Pierre i Luc Dardenne, a mistrzami burzenia struktur narracyjnych bracia Coen. Mistrzem emocji i sentymentu jest Wong Kar-Wai, mistrzem dramaturgii Asghar Farhadi, a mistrzem moralnego niepokoju, Kieślowski ????

M.P.B.: Jakie masz marzenia i plany profesjonalne na przyszłość?

R.S.: Piszę scenariusz do nowego filmu pełnometrażowego, który mam zamiar zrobić w bardzo specyficznych warunkach, z małą obsadą i ekipą, i na bardzo odizolowanym planie opustoszałej farmy. Marzy mi się zrobić ten film w warunkach gdzie nie muszę się ciągle liczyć z czasem albo z gigantycznym budżetem.

Chyba tęsknię za powrotem do prostoty w procesie. Może to naiwne, ale widzę w tym szansę na głębszy kontakt z aktorami, z materiałem, ze sobą samym na planie, na wnikliwość przy budowaniu każdego momentu, każdej reakcji. W pewnym sensie, można powiedzieć, że rezygnując z zasobów chcę uzyskać większą kontrolę nad procesem – to wbrew rozsądkowi, ale tego się trzymam. W wielkonakładowej produkcji, jaką jest 22 Chaser, nie mogłem pozwolić sobie na szukanie rozwiązań na planie. Musiałem doskonale wiedzieć co i jak będę kręcił, czasami nawet miesiące przed zdjęciami – cała armia ludzi musiała to zaplanować i przygotować. Na przykład potrzebowaliśmy zgromadzić flotę kilkudziesięciu samochodów, wysoce wyspecjalizowanych i z wyglądem, który miał w pewien sposób utożsamiać się z ich kierowcami – tego nie można osiągnąć improwizując tuż przed rozpoczęciem zdjęć. I to jest fajne jako ćwiczenie warsztatu. W moim nowym filmie chcę uciec od zgiełku wielkiej produkcji i wsłuchać się bardziej w swój własny instynkt i w temat historii.

W zeszłym roku dziekan College'u na Uniwersytecie Ohio zgłosił przedwcześnie moją nominację na stanowisko profesora nadzwyczajnego. Przystąpię do promocji w tym roku. To dla mnie ważny krok. Mam nadzieję, że teraz będę jeszcze bardziej mógł łączyć moją pracę pedagogiczną z pracą twórczą i reżyserską, i dzielić się moimi doświadczeniami z planu ze studentami.



Rafał Sokołowski po premierze, fot. „Gazeta”.



Rafał Sokołowski z żoną Ginger, fot. „Gazeta”.

Małgorzata P. Bonikowska

PO PREMIERZE:

Film “22 Chaser” ma ogromną moc fenomenalna gra aktorów, znakomite zdjęcia, tempo, a jednocześnie głębia psychologiczna postaci. Świetna reżyseria. Koniecznie go trzeba zobaczyć. Długo się o nim myśli i trudno zapomnieć zarówno wiele scen jak i same dylematy bohatera filmu. Toronto, jakiego nie znamy, ale jakie istnieje tuż obok nas. Koniec? Dyskusyjny, ale prawdopodobnie o to chodziło scenarzyście. Świetna premiera i

ciekawa dyskusja. BRAWO!!!

- Oto informacja od Rafała Sokołowskiego: Film był na drugim miejscu po pierwszym tygodniu pokazów w kinie Carlton. Gratulacje!!!

Recenzja filmu:

<https://www.thegate.ca/film/034607/review-22-chaser/>

Krótką rozmowa z Rafałem w 55 odcinku POLcastu:

<http://www.mypolcast.com/2018/07/episode-55/>

Wywiad pochodzi z „Gazety” – dziennika Polonii w Kanadzie. Za udostępnienie dziękujemy! <http://www.gazetagazeta.com>

Pięć kart pocztowych



A. i Z. Korzeniowscy, fot. arch. R. Sawickiego.

Ryszard Sawicki

„Pocztówka - Postkarte - Carte Postale - Odkrytoje Pismo - Perepisnyj Listok”, taki jest nadruk na kartce pocztowej, tuż przy znaczku. Na drugiej stronie brak jakiegokolwiek ilustracji, jeszcze tylko drobnym drukiem: „Wydawn.sal.mal.polsk. Kraków 1903, Serya 62.L.2, Naśladownictwo zastrzeżone”. Znaczek tuż nad „Wielmożna Pani”, imieniem i nazwiskiem i nazwą

miejsowości, bez numeru domu czy nazwy ulicy, te nie były potrzebne, adresatka była dobrze znana listonoszowi w niewielkim Buczaczu nad Strypą.

Znaczek jest uszkodzony, lecz dobrze widać profil starego człowieka z bokobrodami. To Franciscus Josephus I jak informuje napis tuż pod brodą cesarza. „Kaiserliche-Koenigliche Oesterraichische Post”, 5... groszy czy..., zastanawiam się... nie wiem. I pieczętka, okrągła: Lwów... reszta zamazana.

Na pocztówce tylko kilka słów: *Serdeczne pozdrowienia i ucałowania wszystkim. Wczoraj byliśmy na pogrzebie wuja kapitana, a potem u Kukackich. Ciocia Binia także. Dziś jedzie z wujem H. do Radziechowa na jeden dzień. Lwów, 17.II.1908. Wszystko ładnym, równym pismem.*

Każde słowo z tej pocztówki odczytywałem nie raz, to jedyne słowa wuja matki, Władysława, które zachowały się w korespondencji. A Ciocia Binia...

Była jedną z trzech córek Tadeusza Nałęcz-Korzeniowskiego i Albiny Kukackiej. Dwie jej siostry to Maria, moja prababka i Leopoldyna (Lunia). Tadeusz i Albina mieli też dwóch synów, Henryka i Stanisława.

Na pocztówce adresowanej do Stefanii i Władysława Iżewskich

(mojej ciotki i wuja), podpisały się obydwie siostry: Albina i Leopoldyna. Była to pocztówka z życzeniami na święta Wielkanocne w 1937 roku. Wysłana została z Barysza, o czym świadczy stempel na dwóch znaczkach pocztowych, jednym zielonym za 10 groszy przedstawiającym Morskie Oko w Tatrach, drugim za 5 groszy, przedstawiającym Pieskową Skałę. *Szczęśliwych, miłych i wesołych świąt, szczerze oddane...* pisała ciocia Lusia. Na odwrocie są ilustracje plebanii i kościoła (rok budowy: 1602, dopisała ciotka piórem), na drugiej szkoła powszechna z 1909 roku (też data naniesiona ręcznie).

Ciotki wymienione są jeszcze na innej karcie pocztowej, która ocalała. W styczniu 1947 roku Zdobysław Korzeniowski pisał do mego dziadka, Stefana Czekanowskiego: *Dziś otrzymałem list z 23, dziękuję za wiadomości. Nie wiem jak teraz Ciocia Lusia poradzi sobie bez pomocy Cioci Bini.*



Siostry Korzeniowskie, Albina i Leopoldyna, fot. arch. R. Sawickiego.

W 1947 roku siostry Albina i Leopoldyna Korzeniowskie już nie żyły. Nie żyła też moja prababka Maria. Ale o śmierci Leopoldyny jeszcze nikt w rodzinie nie wiedział. Została w swoim Baryszu, wśród obcych ludzi. Nie chciała wyjeżdżać na obcą ziemię, do Bytomia, gdzie osiedli moi dziadkowie, czy do Wrocławia, gdzie osiedli moi rodzice. Została w swoim dworku, na utrzymaniu jednej ze służących. Sama nie potrafiła się utrzymać ani zarabiać na życie. Służącą aresztowano wkrótce, a ciocia Lunia, kaleka od wczesnych lat swego życia, zmarła, przypuszczalnie z głodu.

Na kartce z 1947 roku doktor Zdobysław Korzeniowski pisał też o tym jak jego rodzina radzi sobie w Warszawie. *U nas wszystko w porządku, trzymamy się zdrowo, mimo ciężkiej podróży jaką mieliśmy. Ja jeszcze nie pracuję, podobnie jak Ewa, chociaż już trzeba o tym myśleć. Na razie zima odstrasza, a ściśle mówiąc dojazdy do Warszawy o ile tam się uda coś znaleźć. Irka i Ewa chodzą do przedszkola, warunki mieszkaniowe mamy na razie marne. Czy znacie adresy innych członków rodziny?*

Po wysiedleniu z okolic Buczacza i Barysza wszyscy próbowali się odnaleźć. Wuj Zdobysław pisał do swojej ciotki, Luni, ale tak on jak i inni krewni nie dostawali odpowiedzi. Zza nowej wschodniej granicy odpowiedzi rzadko dochodziły.

Było to szczególne zrzącenie losu, bo ciocia Lunia (była babką cioteczną mojej matki, ale matka nazywała ją ciocią, więc i ja tak nauczyłem się ją nazywać) prowadziła przez kilkanaście lat agencję pocztową w swoim domu. Nie mogła pracować poza domem ze względu na to, że z trudem chodziła (jedną nogę miała znacznie krótszą, po wypadku w dzieciństwie). Praca ta nie dawała prawa do emerytury w cesarstwie austriackim, lecz ciocia Lunia napisała do cesarza i kancelaria dworska przyznała jej jakąś kwotę. Rząd polski uznał to prawo po pierwszej wojnie światowej. W czasie okupacji radzieckiej emerytura przychodziła nadal, ale była to kwota zbyt mała by się utrzymać. Ciocia Lunia napisała więc do Stalina (tak, bezpośrednio do niego, bo, jak

uważała, wypadało jej pisać wprost do głowy państwa) i ku zdziwieniu wszystkich członków rodziny otrzymała odpowiedź... odmowną, za to z pouczeniem o zmianach terytorialnych (nie znam dokładnie treści tego pisma, lecz domyślam się, że był w liście ciotki jakiś szczegół dotyczący jej pracy w powiecie Buczackim). Podczas kolejnej okupacji ciotka pisała też do Hitlera (bezpośrednio, a jakże), lecz i na ten jej list przyszła odmowna odpowiedź... ale przyszła.

Dzisiaj nie mogę sięgnąć do tych dokumentów. Zachowały się tylko karty pocztowe, z których skopiowałem parę zdań. O swojej prababce, Marii, pamiętam tylko to co mi opowiedziano, nie mogę znaleźć jej imienia w żadnym liście. Była drobną dziewczyną o ciemnych włosach i regularnych rysach twarzy, którą szpecił zez. Wyszła za mąż w wieku lat piętnastu za dużo starszego Jana. Pradziadkowie musieli uzyskać specjalne pozwolenie na ślub. Prowadziła dom, miała dzieci. Mój wuj, Zbyszek, wspominał ją jako osobę kłótniową i lubiącą narzekać. Umarła wcześnie z powodu upadku z drabiny, na którą weszła by wyręczyć w czymś służącą. Zachowała się duża rodzinna fotografia, na której prababka Maria siedzi obok pradziadka: on otyły, wysoki, ona mała, drobna, w okularach z grubymi szklami. We wszystkich rodzinnych opowieściach nie ona królowała lecz jej dwie siostry, które nie założyły własnych rodzin (ciotka Binia wyszła wprawdzie za mąż za niejakiego Łopatyńskiego, ale nawet wuj Zbyszek, kronikarz rodziny, zanotował tylko jego herb, nie

podał imienia; małżeństwo to trwało kilka miesięcy). Ciotki matki prowadziły dom otwarty, w którym dużo się działo, dużo więc można było opowiadać. Przyjeżdżali do nich krewni i wielu znajomych, często z miejscowości odległych o więcej niż sto kilometrów. Ciocia Lunia i ciocia Binia miały dobrych znajomych nawet w okolicach Soliny.

Z tymi solińskimi znajomymi łączy się opowieść wuja Zbyszka, który bywał u nich podczas szkolnych wakacji, a potem był raz jeszcze, tuż przed zalaniem terenów wodą gromadzoną już przez zaporę.

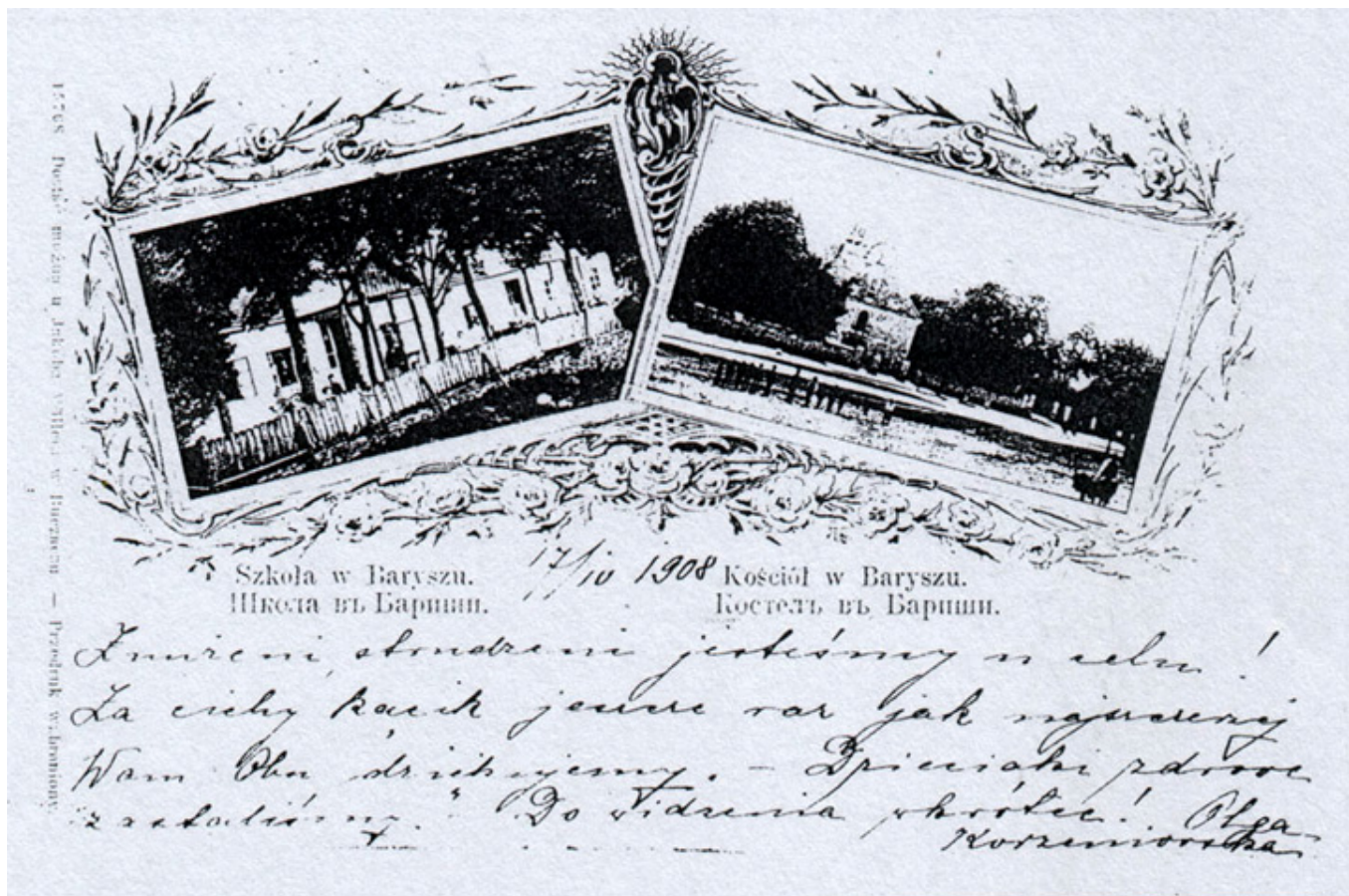
Wujo spędził we wsi Solina, leżącej u ujścia Solinki do Sanu kilka letnich sezonów. Była to wówczas wieś licząca około tysiąca chat, zamieszkała wyłącznie przez rodziny Terleckich, Podkaliskich i Orłowskich. Mówili oni po rusku, posiadali nadania królewskie, należeli do Związku Szlachty Zagrodowej, który powstał na tamtych terenach w latach trzydziestych. Była to wieś bogata, bo mieszkańcy mieli krewnych w Stanach Zjednoczonych i wyjeżdżali tam do pracy. Wieś ta była własnością rodziny von Kronenfeld od połowy dziewiętnastego wieku. Kronenfeld, który był znajomym Korzeniowskich, prowadził gospodarstwo wzorowo, lecz widocznie nie bardzo mu się to opłacało, bo sprzedał posiadłość niejakiemu Jankowskiemu zostawiając tylko resztówkę jednej ze swoich córek, Oldze. Posiadłość Olgi, w której bywał mój wuj, znajdowała się na

pięknie położonym wzgórzu nad zakolem Sanu, w pobliżu małej cerkwi. U stóp dworu znajdował się ogród i sad. Naprzeciw wznosiła się góra Jawor. Wiejskie chaty ciągnęły się malowniczo wzdłuż Sanu i Solinki.

Pani Olga była starą panną. W prowadzeniu gospodarstwa pomagała jej sprowadzona z Niemiec Frau Luisa. Fraeulein von Kronenfeld, jak ją wszyscy nazywali, prowadziła, podobnie jak ciocia Lunia, agencję pocztową, która obsługiwała kilka miejscowości w okolicy. Wysoką, prosto trzymającą się kobietę widywano często na polnych drogach jak szła wspierając się na Alpenstocku niosąc dużą białą torbę. Torba była pełna leków, które Pani Olga rozdawała za darmo. Co drugi rok wyjeżdżała do kogoś ze swego rodzeństwa. Jedna z sióstr była zakonnicą w Australii, dwie inne w Indiach. Czwarta siostra, zamężna, mieszkała w Stanach Zjednoczonych, inna wyszła za mąż za właściciela ogromnych plantacji w Kongo. O tej ostatniej opowiadano, że do najbliższej stacji kolejowej podróżowała w lektyce przez wiele dni. Jeszcze inna siostra wyszła za mąż za Waldecka i mieszkała w Niemczech. Pani Olga była częstym gościem rodziców mego wuja Zbyszka we Lwowie, z którymi była złączona zresztą dalekim pokrewieństwem.



Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, fot. arch. R. Sawickiego.



Dom pani Olgi, położony na odludziu, nie był popularnym miejscem spotkań. Wujo był jednym z nielicznych gości. Był to rejon żyjący własnym życiem, gdzie dojeżdżało się z ustianowskiej stacji furmanką. Nawet pop przyjeżdżał do miejscowej cerkwi tylko raz na miesiąc.

W Sanie płynęła czysta woda. Rzeka była bogata w ryby, które łowiono nocą, wypływając na dłubankach, przy świetle kaganków z węglem drzewnym zawieszonych na długich kijach. Ryby nabijano na oścień. Tak spędzał noce i mój wujo, zapraszany na połowy przez rówieśników. W dzień natomiast chodził do lasu, bo w lasach solińskich było mnóstwo grzybów i jagód.

Wujo opowiadał też, że bywał w sąsiednim dworze w Zabrodziu. Gospodarzył tam Czech, który zelektryfikował swoją posiadłość czerpiąc energię z własnej elektrowni wodnej. Uwielbiał muzykę i nawet wszystkie drzewa w ogrodzie kazał strzyc na kształt instrumentów muzycznych. Inne dwory były w Polańczyku, Myczkowie i Bóbrce. Wszystkie te miejscowości zalane zostały przez spiętrzone wody zapory.

W czasie jej budowy nie pamiętano już lokalnej historii, bo nie było tam już nikogo z dawnych mieszkańców. Wuj został zaproszony jako ekspert przez inżyniera Józefa Krzeptowskiego do oceny jakichś maszyn i mógł wtedy rozglądać się jeszcze raz

po okolicy swego dzieciństwa. Inżynier Krzeptowski asystował przy ekshumacji zwłok przeprowadzanej na lokalnym cmentarzu i wspomniał o grobie Niemki. Był to grób Frau Luisy, gospodyni pani Olgi.

Domy rodzinne w Buczaczu i Baryszu padły ofiarą innego potopu, potopu wojennego.

Zachowały się tylko zdjęcia tych domów, na ich podstawie zrobiłem rysunki, by cieszyły oko w smutne dni. Lubię na nie patrzeć, wspominać. Wywoływać z pamięci, zbiorowej pamięci pokoleń, to co w niej tylko istnieje, nigdzie indziej. Wdzięczny jestem wtedy wujowi, że spisał to co sam pamiętał, a także matce i ciotkom, że wracały pamięcią do tamtych okolic, których ja nigdy nie widziałem, że przekazały mi ich obrazy. Kiedyś nie lubiłem słuchać tych opowieści, wydawały mi się nudne, poza tym powtarzały się, te same, raz po raz. Ale przecież tak przetrwały. Wtedy, nim zostały spisane, powtarzam dziś sobie.

Matka często wracała do „swojego” domu... zwłaszcza przy okazji Bożego Narodzenia. Do swojego, chociaż tamten dom był tylko domem jej dzieciństwa, dorosłe życie spędziła przecież nad Odrą, nie nad Strypą. Jednak tamten dom jest dla niej bardziej „swój” niż ten, w którym przeżyła ponad 50 lat. „Do tych pagórków leśnych”... nie można było się zbyt usilnie przyznawać tak długo, więc na stare lata przyznawać się chyba należy tym

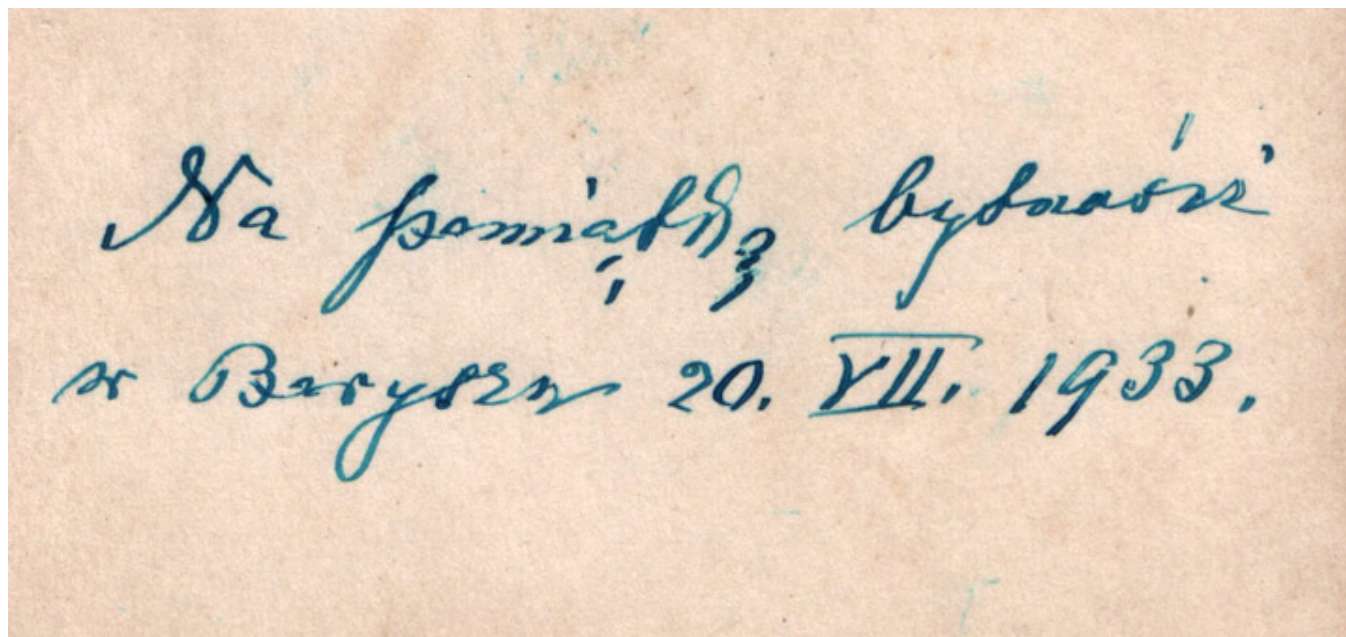
bardziej. Zaczynam rozumieć rozterki rodziców coraz lepiej, w miarę jak sam coraz mniej wiem czy mój dom to raczej ten nad Pacyfikiem, czy ten nad Odrą... bo przecież nie mogę zbyt usilnie upierać się, że jednak ten nad Strypą, skoro nigdy go nie widziałem.

Ale i tamten dom, który istnieje dla mnie tylko na rysunku, jest jakoś „mój”... nie wiem dokładnie jak, ale przecież nie czułbym się w nim całkiem obco... gdyby wróciło to, co nie wróci, jak tłumaczył cichym, melancholijnym głosem bard moich lat dojrzewania, Bułat Okudźawa.

„Nie wróci i szat rozdzierać nie warto”..., ale przecież warto pamiętać.



Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, fot. arch. R. Sawickiego.



Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, podpis na odwrocie fotografii, fot. arch. R. Sawickiego.

Tamten dom, w którym urodziła się matka, na wysokiej skarpie,

w olbrzymim sadzie. O ścianach ze starych, wielkich pni. Z małym balkonem biegnącym wzdłuż frontowej ściany, na wysokości krawędzi drzwi wejściowych. Okno pokoju matki było po prawej stronie domu, a po lewej patrząc na fotografię.

Pamiętać też warto, mówię sobie, tak pamiętać, by można było narysować z pamięci, jeszcze ładniejszy dom ciotek matki, Korzeniowskich. Był on nie w Buczaczu, lecz w położonym 15 kilometrów od Buczacza Baryszu, miasteczku liczącym przed wojną, czyli przed dwudziestowiecznym potopem, 5 tysięcy mieszkańców, w tym 3000 Polaków i 2000 Ukraińców. Polacy, którzy tam mieszkali, pochodzili przeważnie z Mazowsza. Wieś była własnością książąt Świdrygiełłów, których dwór stał na uboczu, dobrze wrośnięty w ziemię. Zabudowania miasteczka biegły po dwóch ramionach kąta prostego, z których jedno było polskie, a drugie ukraińskie. W miejscu przecięcia się ramion był duży plac, przy którym stał kościół, cerkiew, szkoła i karczmy żydowskie, wszystko w najlepszej zgodzie. Szkoła i kościół widnieją na pocztówce z 1908 roku podpisanej przez Olgę Duńczewską, żonę Henryka Korzeniowskiego, który był sędzią w Radziechowie. W tej szkole uczył mój pradziad, a także dziadek Jan Czekanowski.

Dwór Nałęcz-Korzeniowskich był, zgodnie z tym co o nim mówił wuj Zbyszek, bardziej okazały od starego dworu Świdrygiełłów. To właśnie w tym dworze rezydowały obie ciotki matki, Lunia i

Binia. Miał dwa wejścia, jedno od ogrodu, z szerokimi schodami wiodącymi na mały taras przy drzwiach z kolumnami, drugie od strony bardziej „urzędowej”, do którego podjeżdżały pojazdy konne lub motorowe (tych pierwszych było więcej za życia ciotek) z gośćmi lub interesantami odwiedzającymi agencję pocztową. Przed wojnami światowymi wydana została pocztówka, na której uwieczniono tę część dworu ze stojącym na podjeździe powozem. Bacznie wpatrując się w spłowiały obraz przez szkło powiększające można zauważyć kilka postaci. Ktoś schodzi po schodach z boku domu, jest ubrany w mundur austriacki, ktoś inny idzie wzdłuż ściany. Jeszcze inną postać można dostrzec w cieniu pod drzewem. Na schodach od ogrodu stoi dziewczynka w kapeluszu z kotem i książką w ręce. Nie wiem kto to jest.

W czasie pierwszej wojny ciotki opuściły dwór, wyjechały do Austrii. Kiedy wróciły po dwudziestym roku, zastały go w strasznym stanie. Został obrabowany i jego wnętrza już nigdy nie wyglądały tak jak przed wojną. Budynki gospodarskie spłonęły. Siostry Korzeniowskie wyremontowały niektóre pomieszczenia, odzyskały trochę mebli. Jednak całość pozostawała w stanie tak zwanej „trwałej ruiny”. Co można było zrobić bowiem w pokoju, w którym stały konie czerwonej brygady? Nadawał się do całkowitego remontu, a osoby, które podróżowały nawet na skromne zakupy do Lwowa trzecią klasą, nie mogły sobie pozwolić na wielkie remonty.

Wujo wspominał, że wychodził często na dworzec na spotkanie obu pań. Śmieszyły go zwłaszcza ich walizki z wikliny, zamykane na stalowe kłódki. Obszyte były konopnym płótnem ozdobionym czerwonymi wstążkami. Na surowym płótnie widniały monogramy z wielkimi pięciopalkowymi koronami. Ojciec wuja miał z nimi dużo kłopotu, bo ciocia Lunia uważała za stosowne targować się w lwowskich sklepach. Zdumionych sprzedawców trzeba było uspokajać rozmaitymi sygnałami, że wszystko w porządku, że dostaną całą należną im sumę.

Chociaż ciotki miały rozległe stosunki towarzyskie w okolicy, nie podróżowały wiele. Nie znały świata, w którym swobodnie poruszał się ich krewny Józef Conrad. Świat, w którym się zagubił był dla nich obcy. Już Kongo jednej z sióstr Kronenfeld musiało im się wydawać miejscem mało realnym, co dopiero conradowskie „Jądro Ciemności”.

Obcy, brutalny świat zapukał do ich drzwi kolbami karabinów Czerwonej Armii po raz drugi, kiedy były obecne w domu. Tym razem nie zdążyły, czy może nie miały siły by uciekać. Zginęły w gruzach tego, co uważały za własne i czego nie opuściły tak jak to zrobiły podczas poprzedniej wojny.

Wystawa prac Adama Fiali w Domu Polonii w Krakowie

27 czerwca w Galerii Domu Polonii w Krakowie, Rynek Główny 14, miał miejsce wernisaż prac artysty z Perth w Australii - Adama Fiali. Wystawę można oglądać do końca lipca 2018 r.



Adam Fiala - Credo twórcze

Jestem pół Polakiem pół Australijczykiem, ale ta pierwsza połowa może zawsze urosnąć.

Na australijski kontynent rzuciła mnie ciekawość świata, a zaspokojenie jej zawdzięczam Generałowi Jaruzelskiemu. Ale godnie z arią Jontka z opery narodowej „Halka”, nie mam żalu do nikogo i prywatnie w ogóle nie lubię mieć żalu, zwłaszcza po upływie czasu. Gdy zobaczyłem przebywając „na azylu” w ówczesnej Niemieckiej Republice Federalnej pismo z australijskiej ambasady z symbolem kangura i strusia

równocześnie pomyślałem: O! to dla mnie sprawa. Oznacza perspektywę Nowego, bo już dość miałem ciągle powtarzanego w Polsce słowa odnowa. Nawiasem mówiąc napisałem w Niemczech taką powieść, ale zaginęła w Londyńskim Wydawnictwie *Polish Books Fund*. Powiedzieli wtedy, że nie mają pieniędzy, bo zbierają je na książkę o księdzu Popiełuszcze. Uznałem ich rację, w końcu byłem męczennikiem w dużo mniejszej skali.

Tu w Australii czuję się czasami kimś w rodzaju sienkiewiczowskiego Latarnika. Nie trudno to sobie wyobrazić, bo mieszkam od lat w pobliżu Oceanu Indyjskiego. Polskę interesuje Atlantyk, Amerykę Pacyfik, a ja temu się przyglądam z wybrzeży Oceanu Indyjskiego.

Moje wykształcenie jest bardzo prozaiczne. Magister praw UMCS w Lublinie. Ale prawie od początku świadomego życia interesowały mnie równolegle trzy dziedziny: literatura, art i muzyka. Jako dziecko pisywałem wierszyki patriotyczne, żyło się wtedy wspomnieniami o Makach na Monte Casino, rysowałem też i malowałem pociągi parowe z wielkim dymem z lokomotyw. Lokomotywy były zawsze moją pasją. Uważałem je za żywe, sapiące stworzenia. Nic dziwnego że bardzo lubiłem rytmiczny wiersz Tuwima „Lokomotywa”.

Po latach zagrałem go na australijskim *didgeridoo*. Co do muzyki

to miałem prywatnego nauczyciela, kiedyś takie lekcje były modne wśród inteligencji, później nazywano ją inteligencją pracującą, a nawet twórczą i w tej ostatniej kategorii się mieściłem, nawet nie mając tytułów doktorskich czy profesorskich. Na studiach interesowało mnie prawo międzynarodowe. Do dziś kocham politykę. Ale wyłądownołem ostatecznie jako radca prawny spółdzielni Samopomoc Chłopska na terenie województw lubelskiego, a później warszawskiego. Nie narzekałem, bo też musiałem być dyplomata by się utrzymać na ćwiartkach czy połówkach, które dawały mi dobrą pensję w wysokości wynagrodzenia górnika dołowego, oczywiście po zsumowaniu. W jednym roku miałem chyba z pięć trzynastych pensji i nagród. Paradoks zrządził, że najlepiej zarabiałem właśnie w Polsce przed okresem stanu wojennego. Praca na radcostwach dawała mi mnóstwo wolnego czasu i pisałem prozę za prozą. Iskry to wydawały, honoraria były zbliżone do wartości małego Fiata.

Równocześnie sprzedawałem obrazy za tak zwane dewizy w BHZ Desa, biuro mieściło się w Alejach Jerozolimskich w Warszawie.

Stan wojenny przeciął to wszystko tak jak się przecina żywego człowieka piłą. W życiu nie wiadomo co człowieka spotka.

Jeżeli chodzi o muzykę, to gdy pojawił się Elvis przestałem grywać Chopena, skończyłem z prywatnymi lekcjami i zacząłem

walić w rozstrojone pianino śpiewając udawaną angielszczyznę.

Pozostało mi to do tej pory, bo komponuję piosenki także w języku angielskim. Ale za diabła nie chciałbym pisać prozy w tym języku. Moje pierwsze piosenki przesłuchał ówczesny dyrektor Lubelskiej Filharmonii Adam Natanek i o dziwo dobrze je ocenił. Dzięki niemu uzyskałem legitymację refrenisty drugiej kategorii w lokalach gastronomicznych. Mam szereg takich legitymacji. Druga to ZAiKSU, trzecia ze Związku Literatów Polskich, a następnie i ze Stowarzyszenia Literatów Polskich. Ale ciągle mam wyrzuty sumienia, że nie płacę składek, więc chyba jestem tylko honorowym członkiem tychże organizacji.

Podczas kilkunastoletniego pobytu w Warszawie muzykę zawiesiłem na kołku, bo nie miałem instrumentu, poza nowo narodzonym synem. Ale w Australii na wystawce na trawniku znalazłem pierwszy *keyboard* i tak się zaczęła moja nowa przygoda z piosenkami i jak to nazywam Romantycznym Jazzem. Piosenki przychodzą mi same, podobnie jak art czy literatura. I nie odganiam ich, wykorzystuję. W Australii czułem się artystycznie dobrze. Zainteresowali mnie Aborygeni, noblista Patrick White oraz malarze, ale organizacyjnie jako *etnik* z Polski nie wyrabiałem się. Zresztą wołałem czas poświęcić na tworzenie a nie dreptanie z listami proszalnymi.

Zawsze mnie odsyłano do Polonii w Perth, która nie była dla

mnie zbyt łaskawa, ponieważ byłem nietypowym emigrantem. Z pracą było ciężko, ponieważ uważano mnie wówczas w Australii za starego, skończyłem 40 lat, i w ogóle wtedy było spore bezrobocie. Przeżywałem długotrwałe okresy depresji, lecząc się u polskiej lekarki. Ta depresja spowodowała rozpad mojego małżeństwa, tak że po pewnym czasie staliśmy się tylko przyjaciółmi, współpracującymi artystycznie.

Obecnie w Australii podobnie jak i w Polsce bezrobocie jest bardzo niskie, ale ja już mam 77 lat i żyję z emerytur: australijskiej i w małym zakresie z polskiej jako dodatku na mocy porozumienia tych dwóch państw.

Wracając do działalności artystycznej, która była dla mnie dodatkową terapią, to lubię bardzo sam proces tworzenia, bo nigdy nie wiadomo jaki będzie ostateczny wynik. Jestem czynnym polskim patriotą, brałem udział w Sydneyjskich konkursach rocznicowych związanych ze Strzeleckim i Kościuszką i otrzymywałem nagrody, nawet specjalną z polskiego konsulatu za balladę o Górze Kościuszki.

Prawdziwego kopniaka dała mi krakowska „Miniatura” z szefem Mieczysławem Mączką. Dzięki niemu wydałem 10 całkowicie własnych pozycji i ilustrowałem ponad 70 tomików innych poetów i poetek. Za jego pomocą poznałem poetę Henryka Reja, z którym współpracuję od paru lat jako grafik – opublikowaliśmy

„Heads”. On potrafi dowcipnie i lapidarnie skomentować każdy mój rysunek i ma podobne zainteresowania muzyczne.

Są dwie osoby jeszcze, którym zawdzięczam wiele. Pierwsza to Teresa Podemska-Abt, która mnie na nowo odkryła jako poetę i zainteresowała mną fachowe pisma poświęcone literaturze oraz „Odrę”. Druga to Bogdan Nowicki, mamy wspólne zainteresowanie twórczością Franza Kafki. Opublikował o mnie teksty w „Migotaniach” i „Twórczości”, jego krytyka literacka jest dla mnie sporą pomocą, po prostu odkrywa mnie dla samego siebie – lepiej rozumiem czym się zajmuję.

Poza tym publikuję wiersze w „Polska-Kanada” magazynie twórczym redagowanym przez poetę Aleksandra Rybczyńskiego oraz w Culture Avenue. To jest też digitalny magazyn redagowany przez Joannę Sokołowską – Gwizdka, autorkę książek o polskiej kulturze emigracyjnej, szczególnie o teatrze. Mam bardzo duże „Body of Work” w każdej z tych dziedzin, publikuję dosłownie szczyt góry lodowej.

Światło Południa, magiczne, nastraja do twórczości, a o resztę nie trzeba się martwić. W twórczości pomaga mi naturalna łatwość skojarzeń, wyobraźnia, podświadomość i przetwarzanie obserwacji z życia codziennego. Cenię nowoczesną sztukę, ale sam najchętniej sięgam po piórko czy pędzel. Cenię też bardziej klawiaturę maszyny do pisania niż komputera. Wymyśliłem

rodzaj kompaktowej noweli pisanej wersem, mam takie dwie książki: e - booki na Internecie. Obecnie przestawiłem się z prozy na poezję. Piszę też felietony i aforyzmy, aktualnie publikuję regularnie „Punkt widzenia” na facebooku (FB).

Moje credo artystyczne jest bardzo proste. Salutuj Wielkim, ale twórz tylko we własnym stylu. Może to być gorsze, skromniejsze ale własne. Pomaga mi też psychologia, studiowałem trochę filozofii chrześcijańskiej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, ale przerwałem, ponieważ potrzeby finansowe skierowały mnie do prokuratury w Gdańsku jako aplikanta. Byłem też na aplikacji adwokackiej w Olsztynie. Te wszystkie okresy zsumowałem, ponieważ były potrzebne do egzaminu na radcę prawnego. Było to najlepsze rozwiązanie.

Najwięcej o Polsce wiem z telewizyjnych Wydarzeń Polsatu, który lubi piłkę i muzykę disco, ale też potrafi spojrzeć wnikliwie w zakamarki polskiego życia, że nie powiem duszy.

Galeria Domu Polonii w Krakowie

wernisaż prac Adama Fiali, 27 czerwca 2018 r.



Pierwszy z lewej – dyrektor Domu Polonii w Krakowie, Kazimierz Dobrzański, w środku – prezes Fundacji PAW (Polish Artists in the World) i organizatorka wystawy, Henryka Milczanowska.







Rysunki Adama Fiali na wystawie w Krakowie.

Wywiad z Adamem Fiałą:

<http://www.cultureave.com/adam-fiala-artysta-niepokorny/>

Odkrywanie biologicznych zagadek. Teresa Sokołowska-Rylska.



Teresa (Renia) Sokołowska-Rylska i Karol Wojtyła na KUL-u podczas egzaminu, fot. arch. Floriana i Zofii Śmiejów.

Florian Śmieja

Nie rozstrzygnę już tego pokrewieństwa: moja żona twierdzi, że Teresa Ścibor-Rylska (1912-1985) była jej kuzynką, ale ona sama utrzymywała, że była ciotką.

Teresa Sokołowska-Rylska owdowiała w pierwszych dniach Września, a żołnierski grób męża odwiedzaliśmy z nią kilka razy na zacisznym cmentarzu w Laskach. Teraz ona sama spoczywa obok niego.

W czasie okupacji w Warszawie pracowała jako pielęgniarka, była

kierowniczką laboratorium w fabryce namiastki herbaty. Pod pseudonimem Trembicka wzięła udział w licznych akcjach sabotażowych i szkoliła dziewczęta do pracy pielęgniarskiej i nauczycielskiej.

Po wojnie doktoryzowała się, by ostatecznie zostać kierownikiem katedry botaniki i zakładu biologii na KUL-u w Lublinie.

Została odznaczona Medalem Wojska oraz Złotym Krzyżem Zasługi.

Do przejścia na emeryturę wykladała biologię na KUL-u kolegując z zacnymi kompanami. Pisała o tajemnicach organizacji żywej komórki i o teoriach Teilharda de Chardina. Mnie podarowała na emigrację pomocny bardzo „Słownik ortograficzny języka polskiego”, a starszemu synowi swoją książkę „Porządek i organizacja w przyrodzie” z życzeniami „aby wybrał takie ścieżki biologiczne, na których może spotkać rozwiązanie wielu zagadek, odkrycia tajemnic życia”.

Kiedy przed śmiercią wybrała się do Rzymu, by odwiedzić dawnego Kolegę, zastanawialiśmy się o czym była rozmowa, bo gorącym tematem w Watykanie stały się komórki.

Podróż do Szwecji, 1967 r.



Palac Tyresö, fot. Flickr

Teresa Fabijańska-Żurawska

Z teki globtrotera

Pięć dolarów amerykańskich wykupionych w Narodowym Banku Polskim, wprowadzie za własne pieniądze, ale na specjalne

zezwolenie z Ministerstwa Kultury i Sztuki, zielony paszport z literą „S” i prywatne zaproszenie w kieszeni. Lecę samolotem Polskich Linii Lotniczych, na ministerialnym miejscu, prosto za morze, do Sztokholmu. Dreszcze po plecach mi chodzą, emocja ogromna, boć to pierwszy raz do kraju, jak się u nas mawiało, zgniłego kapitalizmu. Jaka ta Szwecja jest? – znana mi dotąd z ponurej raczej literatury i z filmów Ingmara Bergmana.

Kraj Augusta Strindberga, genialnego Frödinga. Dana Andersona, Sjöberga i współczesnego nam Svena Stolpe, pisarza katolickiego, którego kilka książek po polsku wydał przed laty Instytut Wydawniczy PAX. No, dobrze, literatura, sztuka, ale jacy są zwykli ludzie, jak żyją tam, na północy, w odmiennym, zimowym klimacie, w ponurości tak wielu miesięcy w roku, a przecież także w kraju białych nocy i zorzy polarnej.

Odlatywałam trzydziestego czerwca, a więc czekały mnie białe noce. Z duszą na ramieniu wysiadałam z samolotu, cała w lęku, bo może moja depesza nie dotarła, może za późno, może nie zdążą dojechać z Mjölby do Sztokholmu. Jakoś o pieniądze nie martwiłam się, nieświadoma znikomości sumy, którą pozwolono mi wywieźć za pokwitowaniem bankowym na różowym druczku.

Miałam mnóstwo szczęścia, już na lotnisku Arlanda dojrzałam wysoką sylwetkę barona Axela Hermelina, wypatrującego małej ogłupiałej Polki. Radość powitania i spokój w duszy. Jedziemy

oplem Olimpią o metalicznym, niebieskim kolorze, ze skórzanymi siedzeniami, bardzo szerokimi i bardzo głębokimi. Ugrzęzłam w miękkościach przyciśnięta pasem bezpieczeństwa. Ruch niesamowity, czteropasmówki pełne mknących aut, a wszystkie na światłach, chociaż było jeszcze jasno. Patrzyłam na migające osiedla podmiejskie, wtopione w zieleń lasów, na światła kolorowe drogowskazów, wreszcie w mieście na barwy ogromnych, ruszających się reklam. Byłam jak w bajce. Siedziałam cichutko, bo mi się wydawało, że śnię i za chwilę ukaże się moja szara, socjalistyczna ojczyzna, przyciemnawa, i co tu dużo mówić, dość niechlujna.

Wypatrywałam dla przekory i satysfakcji domów odrapanych lub przynajmniej nie tak jasnych, nic z tego, wszystko nowiutkie, jakby dopiero wczoraj wybudowane. Przyjechaliśmy do nowego osiedla domów willowych, gdzie mieszkał syn mojego gospodarza z młodą i śliczną, nowo poślubioną żoną. Przyjęli nas bardzo serdecznie i podjęli kolacją, która u nich, jak we Francji, nazywa się obiadem.

Jadalnia była niewielkim pokojem przy kuchni, stół długi z grubym blatem drewnianym i bez obrusa. Pod naftową, wiszącą lampą stały przepiękne kwiaty ułożone na wzór holenderskich obrazów z siedemnastego stulecia, a więc wszystko, co dało się zerwać w ogrodzie u końca czerwca. Kompozycja była artystyczna, wielobarwna. Każdy z nas dostał podłużną matę,

talerz drewniany i serwetkę z obrączką. Wniesiono pieczone ziemniaki w mundurkach i miskę z masłem, w której tkwiły drewniane noże. (Po dzień dzisiejszy takich używam, bo są wspaniałe). Aha, były widelce. Nakłuwaliśmy kartofle i małymi nożykami usuwaliśmy skórkę, a potem drewnianym nożem nakładaliśmy obficie masło. Pycha, zupełnie jak przy ognisku we własnym kraju. A potem wjechał deser – truskawki okazałe, polane suto śmietaną, posypane migdałami i tartą czekoladą. Panowie popijali piwko, panie dostały soczek. Wino czerwone podano w salonie, przy kominku.

Rozmowy dotyczyły Polski, jej zależności politycznej, co gorąco kwestionowałam (idiotka!) tłumacząc, że to nie zabory, że mówimy po polsku, są szkoły polskie, dzieci się uczą po polsku i starannie języka ojczystego. Zadano mi pytanie: co to jest patriotyzm? – z miejsca sugerując, że ojczyzna jest tam, gdzie się mieszka i miewa dobrze. Zaprotestowałam gorąco. Moje drzewa, moje jeziora, moja bieda – to właśnie moja ojczyzna, gdzie wcale nie musi być tak bardzo człowiekowi dobrze, nawet raczej źle, ale TO jest właśnie moja OJCZYŻNA. Pokiwali głowami udając, że rozumieją. Kurtuazja szwedzka nakazywała przywołać historię i Katarzynę Jagiellonkę, kobietę odważną i godną podziwu, która dała Szwecji dynastię. Już poczuliśmy się jak w rodzinie. Moja kurtuazja, w domu gospodarzy nakazała mi milczeć o wizytach, jakie przed laty złożyło nam wojsko szwedzkie, zachwycone bogactwem Sarmatów, łupiąc wszystko, co się dało. Do dzisiaj w

muzeach szwedzkich najpiękniejsze eksponaty: rzędy końskie, broń, czapraiki – to polskie wyroby artystyczne lub z Polski pochodzące. Szwedzi wzięli sobie z Polski także wzór dworu, pałacu szlacheckiego, nie magnackiego, bo u nich nigdy magnaterii nie było: szlachta i dwór królewski. Żyli dużo skromniej niż niejeden szlachcic na zagrodzie, ale poziom życia był stosunkowo wyrównany. Dało to im podstawy do obecnego powszechnego dobrobytu.

W tym bogatym kraju zobaczyłam czerwone, drewniane domy wiejskie lub letniskowe, tzw. dache, wesołe, błyszczące czystymi szybami dużych okien bez zasłon, wewnątrz proste, z gładkiego, pełnego drewna sprzęty, często lampy naftowe, bo dawały nastrój, podobnie jak kominek. Szwedzi cieszą się uciekając od cywilizacji. Archipelag w pobliżu Sztokholmu skalisty słabo porośnięty sosną, jest ulubionym miejscem spędzania weekendów i wakacji. Woda cudownie czysta, szmaragdowa, ale zimna. Trzeba umieć pływać bardzo dobrze, bo wszędzie są skały, z których skacze się wprost na głębokie wody.

Sam Sztokholm, dzięki wodzie, która wciska się tu i tam dość głęboko w ląd, nie licząc części portowej, jest miastem dostojnym i solidnie zabudowanym, można powiedzieć ładnym i malowniczym, z półwyspami i wyspami okalającymi starszą część. Oczywiście starówka z wąskimi uliczkami o starych brukach, chronionych na pamiątkę. Wysokie, wąskie kamieniczki

swymi zdobnymi szczytami przypominają jako żywo, Amsterdam, a także nasz Gdańsk. Piękne położenie ma ratusz miejski, z dwóch stron oblany wodą, z wieżą w narożniku, jest miejscem napływu licznych turystów, ponieważ tu zwiedza się wspaniałe sale do uroczystości nadawania Nagrody Nobla. Największa sala o ścianach wyłożonych mozaiką z małych złotych kosteczek, robi chyba najbardziej szokujące wrażenie. Myślę, że oprócz licznych muzeów, z ich cennymi zbiorami i oczywiście zamku królewskiego, udostępnionego w dużej części (apartamenty Bernadotte'ów) z przeniesionym niedawno Livrustkammaren (Zbrojownią królewską) warto i trzeba koniecznie zobaczyć skansen sztokholmski.

Jest on skrzyżowaniem lunaparku z wesołym miasteczkiem prowincjonalnym, ogrodem zoologicznym, salą koncertową na wolnym powietrzu, warsztatami rzemieślniczymi z ubiegłego wieku i muzeum. Rodziny z dziećmi wybierają się tutaj na cały dzień, by spędzić go atrakcyjnie, każdy według woli i gustu. Organizacja ruchu, informacja i usługi są doskonałe. A zwiedzać można drewniane domy i ферmy wiejskie, miejskie, małomiasteczkową zabudowę, np. aptekę z domem farmaceuty, można zobaczyć hutę szkła i nawet na oczekaniu zamówić drobiazg, który robią na oczach. Mennica odbija plakietki, a kuźnia wykona np. podkowę na szczęście. Można też zwiedzić dwór szlachecki wraz z zabudową pomocniczych budynków, kościół, spichlerze, świruny i wszelkie inne drewniane cudeńka

wiejskiej ciesiołki. Skansen daje obraz dawnego życia. Można powiedzieć, dość prymitywnego i bez wygod cywilizacji, ale wcale nie biednego.



Teresa Żurawska, Mjölby, 17 lipca 1973 r.

* * *

Śniadanie podano w ogrodzie. Wisząca kanapa pod baldachimem, stół i ogrodowe meble. Sery różnych gatunków, nie krojone, leżały na deseczkach, dżem owocowy, kawa z termosu, mleko w dzbanku. Zachwycił mnie chleb. Nie miał kształtu bochna, chociaż był okrągły. Płaskie krążki, grubości około połowy centymetra i średnicy prawie półmetrowej, dziurkowany, gęsto posypyany białym makiem lub siemieniem lnianym. Bardzo mi smakował.

Jedziemy do Tyresö. Pałac - rezydencja szlachecka na południowy wschód od Sztokholmu, położony jest nad fiordem. Zwiedzamy powozownię pałacową z bardzo ciekawymi karetami z siedemnastego wieku. Sceneria do bajki. Ogromna powozownia o kilku salach, całkowicie nie odkurzana. Pył pokrył wszystko na szaro, a pajęczyny zasnuły gęsto wszelkie kąty i połączyły się w wymyślnych zawijasach z lampy, sufitu, bud powozowych, łapiąc nas i omotując nasze głowy i ręce.

- Czas nagli, więc siadamy do samochodu i jedziemy z powrotem do Sztokholmu oglądać królewskie karety paradne w Livrustkammaren, wówczas jeszcze w gmachu Nordiskamuseet. U wejścia wita nas uroczą pani w wieku średnim, bardzo elegancka i zaprasza na ekspozycję. Pani ta, dowiedziawszy się,

że jestem Polką, zaczęła mówić po polsku, ale Polką nie była, po prostu poliglotka w charakterze hostessy. Nigdzie więcej nie spotkałam się z takim stanowiskiem w muzeach. Trzeba przyznać, że było to bardzo miłe. Pełna zachwytu i podziwu dla wspaniałych karoc z ubiegłych wieków i sposobu ich konserwacji, zapragnęłam zobaczyć dzisiejszą, użytkową stajnię i powozownię oraz apartamenty Bernadottów w zamku królewskim. Była właśnie uroczysta zmiana warty z orkiestrą i popisami. Wieczorem pałac Drottningham (też do zwiedzania). Wnętrza urocze, ale tylko wtedy dostępne, gdy nie ma rodziny królewskiej i drewniany teatrzyk, bez światła elektrycznego, nie zmieniany od osiemnastego wieku. Właśnie dawano operę kameralną Mozarta „Cosi fan Tutte”, przygotowaną gościnnie przez zespół z Berlina Zachodniego. Poziom królewski, fotele dla dworu, służba w strojach z epoki witała trzymając w rękach wieloświecowe, barokowe kandelabry. Do oglądania wystawiono w foyer kostiumy teatralne i rekwizyty z osiemnastego wieku. Poczułam się jak dama dworu z tamtej epoki mając u boku uroczego barona w muszce.



Axel Hermelin, 1974 r.

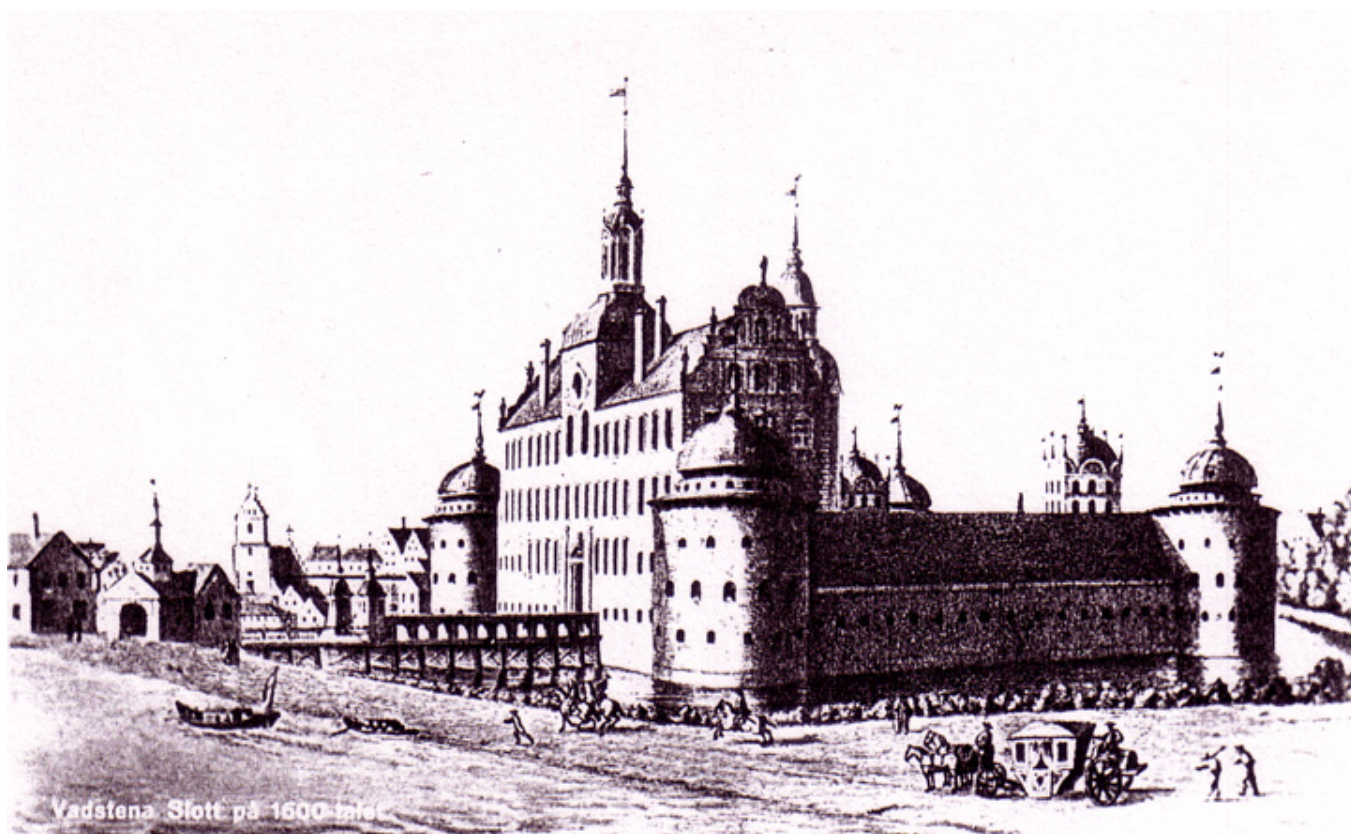
* * *

Opuszczamy stolicę udając się do Mjölby, odległego o 240 km na zachód. Po drodze mała rezydencja królewska w Tülgarden,

położona na cyplu półwyspu wciskającego się między wyspy i wysepki. Krajobraz z tarasu rozległy i bardzo malowniczy. Wewnątrz pałacu dekoracja na ścianach w stylu Gustawa III, w jednym gabinecie podłoga pokryta rokokowym malowidłem na płótnie, inne intarsjowane w figury, co jest wyjątkowe. Oprawdzała mnie zażenowana swym wakacyjnym strojem, pierwsza dama dworu, jak się okazało żona marszałka. Pałac otoczony jest parkiem przechodzącym w las. Tam szukaliśmy grobu koni królewskich Gustawa VI tak, tak – to u nich normalne!

Im bliżej byliśmy celu, tym rozmowy schodziły z nurtu profesjonalnego na towarzyski. Najwyraźniej byłam przygotowywana do wizyty, jaką mieliśmy zapowiedzianą na wieczór. Słyszę, że Szwedki wkładają na wieczór długie suknie, złote pantofelki, kolie z brylantów. Odpowiadam, że nie mam długiej sukni wieczorowej, ani złotych pantofli, ani kolii z brylantów – czyż więc mogę być zaproszona? – Na to otrzymałam szeroki uśmiech i skinienie głową.

Była to pamiętna dla mnie wizyta w domu pisarza szwedzkiego, Svena Stolpe, znanego również w Polsce z książek o św. Brygidzie, która żyła w epoce gotyku (1303–1373). Założyła w miejscowości Vadstena klasztor wraz z kościołem, istniejący do dzisiaj. Zachowały się w nim szaty liturgiczne, ornaty z jej czasów.



Vadstena, zamek Gustawa Wazy, XVII w, Szwecja.

Vadstena jest maleńkim miasteczkiem, ogromnie interesującym. Oprócz wymienionych zabytków sakralnych, znajduje się tam ponure zamczysko z 1545 roku – rezydencja króla Gustawa Wazy, z czterema bastcjami w narożach – otoczone wodą sztucznie doprowadzłą z jeziora Watter, nad którym leży Vadstena. Ze wzruszeniem oglądałam średniowieczny szpital dla ubogich – mały dom murowany z czerwonej cegły, o jednym piętrze, z wykusikiem i z okiennicami. Kiedyś przecież w każdym mieście takie istniały, zawsze na uboczu, a często poza murami obronnymi miasta. Dzisiaj nazwalibyśmy je hospicjami.

Jedziemy autostradą Sztokholm – Malmö. Ruch niesamowity,

droga nudna, więc zabawiamy się rozmową o Italii i jej urokach, o wyspie Ischia, o małej miejscowości Macerata nie opodal Civitanova nad Adriatykiem. Jest tam miejskie muzeum bardzo interesujące, posiadające duży i ciekawy zbiór pojazdów konnych. Co jakiś czas mijamy na szosie gumowe przewody położone w poprzek drogi. Pytam, co to takiego i otrzymuję odpowiedź, że są to liczniki rejestrujące liczbę przejechanych samochodów. Test na wytrzymałość nawierzchni? – nie bardzo zrozumiałam.

W innym miejscu zainteresowały mnie dodatkowe wybetonowane drogi bardzo starannie utrzymane, które znajdowały się w szczerym polu lub w pobliżu lasu. Okazało się, że są to pasy startowe dla wojskowych samolotów. Wszędzie ogromny ład, pola uprawne daleko od szosy, oddzielone zielenią, parkingi, dla kierowców, miejsca odpoczynku. Można odpocząć, zjeść, wypić kawę, umyć się, a nawet wziąć prysznic, nie mówiąc już o podręcznych zakupach.

Nas oczekuje pani Inger i dzieci, więc wypijamy pośpiesznie kawę i jedziemy dalej. Na trasie dwa ważne i duże miasta: Norköping i ośrodek uniwersytecki – Linköping. Stąd do Mjölby już niedaleko. Przyjechaliśmy na czas. Szybko szykujemy się na wizytę. Kąpiel w ogromnej, cudownej łazience, makijaż, sukienka raczej wizytowa niż wieczorowa, robiona ręcznie szydełkiem z ciemnoniebieskiej wełny, ażurowa i sztuczna biżuteria ku

podniesieniu nastroju. Moja Inger włożyła przez solidarność ze mną też krótką garsonkę, błękitną z białymi dodatkami. Znów samochód i znów droga.

Mała miejscowość nad jeziorem Sömmen nazywa się Maleksander. We dworze, żywo przypominającym nasze klasyczne, osiemnastowieczne pałacyki, mieszkają pp. Stolpe, którzy właśnie tego dnia obchodzili uroczyste swoje srebrne wesele (25 lat małżeństwa). Gości zjechało niemało. Przyjęcie daleko odbiegało od amerykańskich *party's* i atmosferą i organizacją. W przedpokoju należało złożyć wizytówki na tacę, którą zabrała natychmiast służąca w białym czepeczku i fartuszk. Po chwili drzwi salonu otworzyły się szeroko i pani domu – dama drobna, szczupła i ujmująca wyszła na powitanie. Podano jakieś mini przekąseczki do drinków i na razie goście stali, witali się, rozmawiali wszyscy ze wszystkimi. Później poproszono do dużej jadalni, gdzie cały pokój wypełniony był długim stołem. Karteczki z nazwiskami wyznaczały każdemu należne mu miejsce. Nazwano mnie „madame la Pologne” i posadzono na miejscu honorowym, po prawej stronie gospodyni. Zaszczyt niewątpliwie, ale jakaż męka, zwłaszcza, że przede mną stało sześć przeróżnych kieliszków, po obu stronach talerza leżały różnorakie sztucce, jakich nie widziałam w swoim życiu, nie wiedziałam do czego mogą służyć. A tu wszystko zaczynało się od mojej skromnej osoby. Podawał służący. Nabierałam i czekałam aż pani domu zacznie. W ten sposób chytrze

podpatrywałam co do czego i jak. Przebrnęłam jakoś dzięki serdecznej atmosferze i wielkiemu zainteresowaniu Polską.

W białą noc zaproszono na przejażdżkę po jeziorze i to było cudowne. Potem bawiliśmy się w ogrodzie bulami (ciężkimi kulami), które znałam wcześniej z literatury. Nad ranem Sven Stolpe własnoręcznie przygotował pierwsze śniadanie, bez służby i bez pompy. Piliśmy sznaps, jedliśmy słone śledzie z rodzynkami (brr!), sery na deskach, i słodką szynkę. Gdyby nie było w tym nic niezwykłego, pewnie zapomniałabym.

Koncert Andrzeja Olejniczaka

i Vladyslava „Adzika”
Sendeckiego
w Piwnicy
pod Baranami



Od lewej: „Adzik” Sendek i Andrzej Olejniczak, fot. Jacek Gwizdka.

W ramach krakowskiego Summer Jazz Festival, 5 lipca 2018 r. w Piwnicy pod Baranami odbył się niezwykle koncert Andrzeja Olejniczaka (saksofon) i Vladyslava „Adzika” Sendckiego (fortepian). Obydwaj artyści od wielu lat mieszkają za granicą.

Andrzej Olejniczak to jeden z najbardziej uznanych polskich

saksofonistów jazzowych na arenie międzynarodowej, kompozytor i aranżer, a także wykładowca. Ma na koncie około 50 płyt. Od 30 lat mieszka w Hiszpanii.

Urodził się w 1954 r. w Zduńskiej Woli. Edukację muzyczną rozpoczął w szóstym roku życia. Uczył się gry na fortepianie, później sięgnął również po klarnet i saksofon. W 1976 r. ukończył z wyróżnieniem Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną w Łodzi w klasie klarnetu. Studiując muzykę klasyczną, zaczął interesować się również jazzem oraz pokrewnymi stylami muzycznymi.

Był współzałożycielem grupy *Sun Ship* oraz członkiem jednej z najlepszych formacji jazzowych ostatnich dekad – *String Connection*. Współpracował niemal ze wszystkimi zespołami sceny jazzowej lat 70. i 80., m.in. *Extra Ball*, *Swing Session*, *Novi Singers*, *Big Bandem Katowice*, a także z *Big Bandem Polskiego Radia* pod dyрекcją Andrzeja Trzaskowskiego oraz Zbigniewem Namysłowskim, Andrzejem Dąbrowskim i Sławomirem Kulpowiczem. Jako muzyk sesyjny grał z takimi artystami jak Józef Skrzek czy Maanam.



Andrzej Olejniczak podczas koncertu w Piwnicy pod Baranami, fot. Jacek Gwizdka.

Po wyjeździe do Hiszpanii w 1984 r. podjął współpracę z należącym do elity światowego jazzu ociemniałym pianistą Tete Montoliu i przez 4 lata koncertował z nim na wielu europejskich festiwalach. W 1986 r. wystąpił u boku Gerry'ego Mulligana

na festiwalu jazzowym w San Remo, a 2 lata później zagrał z Kenny Drew Trío na Festival de Jazz de Lorca-Murcia. Catch (1994), jego pierwszy autorski album nagrany w Hiszpanii, zdobył tytuł Płyty Roku, a Live at Altxerri (2004) został wysoko oceniony przez „Jazz Forum”.

Brał udział w niezliczonych projektach międzynarodowych, występując na niemal wszystkich festiwalach w Europie i na świecie (m.in. Mediolan, Paryż, Montreal, San Sebastian, Lima, Marciac, Quito). Wśród artystów, z którymi koncertował, są m.in. Kenny Drew, Randy Brecker Group, Hiram Bullock, Joe Newman, Horace Parlan, Lou Blackburn, Oliver Jackson, NHO Pedersen. Często współpracuje także z czołowymi hiszpańskimi wykonawcami muzyki pop i rock, np. Orquesta Mondragón, Mecano, Miguel Ríos, Manzanita, Itoiz, Oskorri, Revolver.

Artysta wykonuje również muzykę klasyczną. Zrealizował m.in. dwa projekty muzyczne z Orkiestrą Symfoniczną z Bilbao (1995, 2006), a płytę Different Choice (2010) nagrał z kwartetem smyczkowym Apertus String Quartet. W 2013 r. wystąpił z Polską Orkiestrą Radiową pod batutą Krzesimira Dębskiego w Studiu Koncertowym im. Witolda Lutosławskiego.

Mieszka w Hiszpanii, gdzie nagrywa i koncertuje, a także uczy gry na klarnecie i saksofonie w Centro Superior de Música del País Vasco „Musikene” w San Sebastian oraz w Conservatorio

de Leioa.



Andrzej Olejniczak podczas koncertu w Piwnicy pod Baranami, fot. Jacek Gwizdka.

Vladislav „Adzik” Senddecki to wędrowiec, współczesny

pielgrzym, ciekawy różnorodności dźwięków i kultur. „Dla mnie muzyka oznacza wolność”, mówi pianista, „wolność jako wymiana myśli i emocji z publicznością, innymi twórcami, instrumentem oraz z samym sobą”.

Sztuka Sendeckiego jest nieodłączną częścią jego przeszłości. Urodził się w 1955 roku w Gorlicach. W wieku 4 lat rozpoczął naukę gry na pianinie, jako 11 letni chłopiec rozpoczął naukę w szkole muzycznej Fryderyka Chopina a później kontynuował na akademii Muzycznej w Krakowie. W wieku 15 lat odbył swoje pierwsze *tourne* jako pianista klasyczny. Kiedy Sendeckie odkrył jazz, założył zespoły *Extra Ball* oraz *SunShip* tworzące z ogromnym sukcesem jazz rock, podziwiane przez polskich fanów oraz zapraszane na festiwale w całej Europie. Pomimo tego, każdy wyjazd oznaczał taką samą walkę o wizę wyjazdową. – Czułem się jak w pułapce – mówi – dlatego też podróże stawały się dla mnie bardziej i bardziej ważne, oznaczały wolność.

W 1981 roku Sendeckie wyemigrował do Szwajcarii i stąd zaczął międzynarodową karierę. Odtąd grał z pierwszą ligą Jazzu, wspólnie z Joe Henderson, Lenny White, Marcusem Millerem, Randy and Michaeliem Breckerem, Jaco Pastorius, Billy Cobhamem, Till Brönnerem i Klaussem Doldingerem.

W połowie lat 90. przeniósł się do Hamburga, gdzie w 1996 roku został członkiem *NDR Big Band*, ku radości znanych

kompozytorów jazzowych takich jak Michael Gibbs oraz Colin Towns.

Jako kompozytor wkroczył w zupełnie nowe terytoria w 2000 roku – skomponował 10-częściową suitę na big band “Anima Mundi”; muzyczny zapis podróży z Afryki poprzez Indie, Japonię do Europy, wirtualne spotkanie kultur muzycznych, co jest unikalne w świecie jazzu. W 2009 roku suita została zaprezentowana podczas Letniego Festiwalu Jazzowego w Piwnicy pod Baranami w Krakowie.

Zajął mu piętnaście lat, aby zebrać przeróżne dźwięki i głosy na komputerze.

– Łączę marzenie z światem bez konfliktów, w którego centrum tolerancji znajduje się człowiek, który wymyka się z barier i granic mentalnych. Stając się przestrzenią – mówi sam Senddecki. (*Tobias Richtsteig*).



„Adzik” Sendecki podczas koncertu w Piwnicy pod Baranami,
fot. Jacek Gwizdka.



„Adzik” Sendecki podczas koncertu w Piwnicy pod Baranami,
fot. Jacek Gwizdka.

Organizatorem Letniego Festiwalu Jazzowego w Piwnicy Pod Baranami jest Fundacja My Polish Heart oraz Cracovia Music Agency.

Fundacja My Polish Heart powstała z potrzeby serca dwóch jej założycieli – Vladysława „Adzika” Sendeckiego oraz Witolda Wnuka, od lat 80. promujących rodzimą muzykę poza Polską.

Głównym celem Fundacji jest wspieranie zasłużonych artystów polskich, znajdujących się w ciężkiej sytuacji życiowej, jak i pomoc młodym, wybitnie utalentowanym muzykom, poprzez fundowanie nagród i stypendiów. Fundacja jest organizatorem koncertów i wydarzeń muzycznych oraz tworzy nowe jakości artystyczne we współpracy z prestiżowymi ośrodkami kultury w Europie i na świecie. Jest jednym z głównych organizatorów Letniego Festiwalu Jazzowego w Piwnicy Pod Baranami.

Cracovia Music Agency to firma założona w 1995 przez Witolda Wnuka zajmująca się organizacją i produkcją wydarzeń muzycznych. Od 1996 roku organizuje doroczny międzynarodowy Letni Festiwal Jazzowy w Piwnicy pod Baranami w Krakowie. W ofercie Cracovia Music Agency znajduje się szereg wydawnictw muzycznych. Dużym sukcesem wydawniczym jest czteroczęściowa seria „The Best of Cracow Jazz” jazz tradycyjny, współczesny, nowoczesny i płyta archiwalna obrazująca najlepsze dokonania jazzu krakowskiego w ostatnich 50 latach.

Wykorzystano materiał ze stron:

<http://andrzejolejniczak.com/>

<http://vladyslavsendecki.de/>

<https://www.cracjazz.com/pl/festiwal/organizator/>

Po koncercie w Piwnicy pod Baranami muzycy wraz z gośćmi przenieśli się do Piwnicy u Muniaka. Jednym z gości był pan Piotr Niedźwiecki – prezydent miasta Zduńska Wola, gdzie urodził się Andrzej Olejniczak, a jednocześnie brat Marka Niedźwieckiego. W Piwnicy u Muniaka był już Michał Urbaniak. Dyrektor Festiwalu, pan Witold Wnuk korzystając z okazji zaaranżował „jam session”. Mimo późnej pory, spontaniczny koncert wyszedł fantastycznie.



Michał Urbaniak i Andrzej Olejniczak podczas „jam session” w Piwnicy u Muniaka, fot. Jacek Gwizdka.